



ZA ŻADNE  
SKARBY

*Niestychana opowieść...*

JANUSZ LEON WIŚNIEWSKI



VERA FALSKI



ZA ŻADNE  
SKARBY

VERA FALSKI



**OTWARTE**

Kraków 2015

Copyright © by Vera Falski

Redakcja: Robert Chojnacki, Katarzyna Kolowca-Chmura

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku: Pracownia 12A

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: dziewczyna – © iStockphoto.com / iconogenic,

krajobraz – © iStockphoto.com / fotoluk1983

ISBN 978-83-7515-273-9



**OTWARTE**

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

---

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,  
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,  
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

---

*Dla A. i E.*



## ROZDZIAŁ 1

To był jeden z tych dni, których początek bez wyraźnej przyczyny wystrzelał jak korek od szampana, wypełniając głowę przyjemnie musującymi bąbelkami.

„Nie, to nie jest dzień na dzinsy” – pomyślała Ewa, stojąc przed otwartą szafą. Strojenie się nie było jej specjalnością. Z pewnością nie należała do dziewczyn, które zgłębiają tajniki nowych kolekcji i z przejęciem śledzą prognozy trendów na nadchodzący sezon. Takie tematy śmiertelnie ją nudziły, nie mówiąc o tym, że szkoda jej było na nie czasu i energii. Ubranie jest po to, żeby było ciepło w zimie, latem nie za gorąco, a cały rok wygodnie. Na szczęście Marek nie miał w tym względzie wygórowanych oczekiwań. W gruncie rzeczy gdyby zaczęła się nagle ubierać w worki na śmieci, mógłby nie zwrócić na to uwagi, co już może nie było najfajniejsze. Ale cóż, jej facet był informatykiem.

Z szeregu wieszaków wybrała zwiewną sukienkę w drobną łączkę, prezent od mamy, jeden z niewielu naprawdę kobiecych ciuchów, jakie miała. Nie wiedziała dlaczego, ale właśnie dziś miała ochotę ją włożyć. Tak, ta sukienka idealnie pasowała do

jej dobrego nastroju. Ewa przyjrzała się swojemu odbiciu. Z lustra patrzyła na nią brązowooka dziewczyna z kilkoma piegami na nosie i falami kasztanowych włosów spływających niesfornie na ramiona. Sukienka dodawała jej kształtom smukłości i odsłaniała nogi do samego nieba. Chociaż Ewa nigdy nie pomyślałaby o sobie, że jest piękna, musiała przyznać, że tego dnia wyglądała jakoś inaczej...

Kiedy dziewczyna zamknęła za sobą bramę kamienicy, szybko zdecydowała, że zrezygnuje z autobusu, i ruszyła na uczelnię piechotą. Sama nie wiedziała, dlaczego się uśmiecha: do siebie, do jasnowłosej kobiety z wózkim czekającej na przystanku, nawet do wyrostka, który bynajmniej nie wysyłał światu przyjaznych sygnałów. Rozpierała ją energia i podskórne uczucie podniecenia, jak przed długo oczekiwaną randką. Ale to nie to, czas romantycznych uniesień dawno już minął, zresztą Marek nawet na początku ich znajomości nie był typem sentymentalnego kochanka.

Był dopiero koniec kwietnia, ale słońce głaskało jej skórę, chyba po raz pierwszy w tym roku tak mocno dając znać o zbliżającym się lecie. Ewa czuła się po prostu dobrze. Zresztą na co miałaby narzekać? Nigdy nie myślała, że uda się jej osiągnąć aż tyle. Miejsce urodzenia chyba rzeczywiście wyznacza poziom wiary w siebie i oczekiwań od życia. Najstarsza z czwórki rodzeństwa, wychowana w liczącej kilkuset mieszkańców wsi, w gospodarstwie położonym na takim uboczu, że nie każdy samochód był w stanie do niego dotrzeć, nigdy nie wybiegała marzeniami daleko. Właściwie można je było zamknąć w krótkim: „Wyrwać się stąd”. Chce tego każdy, kto rodzi się w takim miejscu, ale mało komu się to udało. Jej się udało.

Może Olsztyn nie jest światową metropolią, ale zamieszkanie w nim i tak było dla niej wielką zmianą. Cieszyły ją proste sprawy, które dla większości ludzi są oczywiste. Że można wyjść

z domu nie tylko po to, żeby odwiedzić sąsiadów. I masz wybór: to może być kino albo knajpa, możesz też po prostu powłóczyć się po mieście, wiedząc, że za każdym razem jest szansa trafić w zupełnie nowe, nieznanie ci wcześniej miejsce. Filmy, książki, płyty, o których czytasz w gazetach – nagle masz to wszystko na wyciągnięcie ręki. Nie znasz każdego z mijanych ludzi, a oni nie znają ciebie. Dla sprzedawczyni w sklepie jesteś jedną z tysięcy anonimowych klientek, nie obchodzi jej, w co jesteś ubrana i kiedy wreszcie wyjdiesz za mąż.

Ewie wcale nie było łatwo dotrzeć tam, gdzie się teraz znajdowała. To, co dla większości ambitnych młodych ludzi jest naturalną kolejną rzeczą, dla niej było długą wspinaczką, do tego chwilami po bardzo śliskich skałach. Po latach coraz dłuższych i bardziej skomplikowanych dojazdów do kolejnych szkół dostała się na mikrobiologię, wybierając oczywiście najbliższy uniwersytet, i szybko się przekonała, jak mało snu potrzebuje człowiek – od razu musiała znaleźć pracę, żeby opłacić akademik i pokryć koszty skromnego życia w mieście. No i co miesiąc podesłać coś rodzinie, którą zostawiła w Węźłówce. Po zajęciach na uczelni biegła do sklepu na drugą zmianę, a nocami wkuwała. Od drugiego roku studiów portier pan Henryk wpuszczał ją po godzinach do labu, żeby mogła dokończyć doświadczenia, które jej koledzy robili popołudniami. Wciągnęło ją to po uszy. Sekwencje czynności, które trzeba wykonać tak, żeby osiągnąć określony efekt. Kiedy opanuje się już technikę, przychodzi czas na wymyślanie i testowanie własnych metod. Ewa uwielbiała ten dreszczyk emocji towarzyszący oczekiwaniu i sprawdzaniu, czy wyszło właśnie to, co miało wyjść. Czasem wychodziło, a czasem nie. Kiedy się udawało, czuła ekscytację, jak podróżnik odkrywający nowy, nieznaną ląd. Kochała naukę. Szczęśliwie dla niej okazało się, że to odkrywanie wychodzi jej lepiej niż innym. Jeszcze przed skończeniem studiów

została zaproszona przez profesora do grupy badawczej, a po spektakularnej obronie pracy magisterskiej otworzyła przewód doktorski i dostała pracę na wydziale, co praktycznie nie zdarzało się doktorantom. Mogła zrezygnować z dodatkowych fuch i już samodzielnie, bez współlokatorek, wynająć kawalerkę. Miała dwadzieścia pięć lat i robiła to, co naprawdę lubiła. A to był przecież dopiero początek. Miała przed sobą obiecującą karierę.

To, czym żyła na co dzień: fascynujący ją świat drobnoustrojów, precyzyjne izolowanie bakterii lub zgłębianie procesów skażenia mikrobiologicznego, dla większości ludzi było czarną magią. Nikt w jej wsi, a nawet w rodzinnym domu nie był w stanie powtórzyć, a co dopiero zrozumieć, czym się zajmuje. I z całą pewnością od bardzo dawna nikomu z Węzówki nie udało się zajść tak daleko.

Mimo intensywnego spaceru Ewa dotarła do pracy wcale niezmęczona. Kiedy szła korytarzem, lekko zarumieniona od wiosennego słońca, ze zwichrzonymi przez wiatr kasztanowymi włosami, w których pobłyskiwały złociste pasma, kilku mijanych studentów odprowadziło ją tęsknym wzrokiem. Nie rejestrowała tych spojrzeń. Chociaż mama nazywała ją w dzieciństwie swoją śliczną córeczką, nie uważała się za piękność. Specjalne koncentrowanie się na własnej urodzie uważała za niezbyt mądre i trochę nieprzystojące kobiecie, która chce być traktowana poważnie. Ona zaś właśnie tak chciała być traktowana. W żadnym razie nie jak ładna lalka. Ten cel także trudno byłoby jej osiągnąć w rodzinnej wsi. Tam jedyne, na co mogłaby liczyć, to pogwizdywania połączone z mało wybrednymi komentarzami na zmianę ze splunięciami mającymi być prawdopodobnie w mniemaniu lokalnych donżuanów jakąś pierwotną formą męskiej adoracji.

Bez pukania otworzyła drzwi i weszła do wyposażonego w długi roboczy blat laboratorium.

– To ty już wiesz!? – Profesor Jarosz na jej widok poderwał się z miejsca.

– Ale o czym? – Mimo oficjalnego przejścia po jej magisterce na „ty” Ewa nadal nie mogła się przełamać i kiedy tylko mogła, starała się używać w stosunku do swojego profesora formy bezosobowej.

– No o Paryżu przecież! Myślałem, że jakimś cudem się dowiedziałaś, bo wyglądasz, jakbyś się unosiła nad ziemią.

– O jakim Paryżu? Nic nie wiem!

– Jedziesz do Paryża! To znaczy, musisz jeszcze przejść drugi etap, ale według mnie to czysta formalność.

Chwilę potrwało, zanim Ewa z gorączkowej wymiany zdań z Jaroszem dowiedziała się, o co chodzi. Jakiś czas temu profesor zgłosił ją do konkursu na stypendium w zespole światowego guru w dziedzinie mikrobiologii, a przy okazji swojego kolegi z dawnych lat. Dzisiejszy guru blisko trzydzieści lata wcześniej był opiekunem i przewodnikiem Jarosza podczas stażu we Francji. Wypili wtedy morze wina, a młody doktor z Polski zapoznawał się z tak egzotycznymi dla niego wówczas wytworami kultury romańskiej, jak sery pleśniowe, wymyślne quiches, a nawet legendarne escargots. Sławny Francuz (jeśli wierzyć środowiskowym plotkom, od paru lat będący w czołówce kandydatów do Nobla) za namową polskiego kolegi przeczytał publikację Ewy na temat wykorzystania nowych substancji biobójczych w dezynfekcji papieru starodruków – co już samo w sobie było wielkim wyróżnieniem – i zakwalifikował ją do ścisłego grona kandydatów do stażu w swoim zespole. Jej konkurentami byli Japończyk i Amerykanka. Jeśli dostałaby to miejsce – co zdaniem Jarosza było więcej niż pewne – dołączyłaby do projektu, w którym uczestniczyli najlepsi młodzi mikrobiolodzy z całego świata i który miał szansę zrewolucjonizować jej dziedzinę nauki. A do tego wszystkiego

na co najmniej osiem miesięcy przeprowadziłyby się do Paryża! Ewa musiała usiąść.

I jak tu nie wierzyć w intuicję? Poranny przypływ energii układał się teraz w logiczną całość z dalszym rozwojem wypadków, o ile logika miała w ogóle z tym wszystkim coś wspólnego. To był zdecydowanie jej dzień. A przynajmniej tak myślała do chwili, gdy opuściła mury wydziału. Złapała za telefon. Musiała opowiedzieć o wszystkim Markowi.

– Do Paryża? A po co? – To nie zabrzmiało jak coś, co chciałyby usłyszeć od ukochanego po ogłoszeniu takiej nowiny. Ale to był cały Marek. Do bólu rzeczowy i niespecjalnie empatyczny.

Poznali się na imprezie u wspólnej koleżanki. Zgadali się, że Ewa właśnie planuje kupić komputer. On pomógł jej wybrać i zainstalował wszystko, co trzeba. W ramach podziękowań zabrała go do kina, po którym on bez zbędnych ceregieli zapytał, czy może wstąpić na herbatę. Zgodziła się, bo w tej jego szorstkości i aurze nieprzystępności było coś pociągającego; coś, co kusilo, żeby się przez nią spróbować przebić. W małym pokoiku Ewy chłopak po prostu zabrał się do rzeczy, a następnego dnia wszystko potoczyło się tak naturalnie, jakby byli parą już od dawna.

Minęły trzy lata i Marek miał firmę informatyczną prowadzoną z kolegą ze studiów i coraz poważniejszych klientów. Kupił mieszkanie na kredyt i – co zaskoczyło Ewę – od razu zaproponował, żeby z nim zamieszkała. To nie było w jego stylu, a ona nie miała pewności, czy jest na to gotowa, mimo że już od dawna ich związek stanowił naturalny element jej życia. Była nawet zaskoczona, jak mocno się do niego przywiązała, chociaż trudno było mówić o odbierającej zmysły miłości. Całkiem nieźle razem funkcjonowali, a Ewie imponowała jego ambicja. Marek miał plan na przyszłość, jeszcze bardziej precyzyjny niż ona – w przeciwieństwie do niego nie sporządziła listy kluczowych

celów, rozpisanej na pięcioletni harmonogram z rocznym marginesem poślizgu. Byli jednak przy tym „studencką parą” i to jej odpowiadało. Wspólne zamieszkanie oznaczało poważny krok i dość wyraźną w jej mniemaniu deklarację. Stała więc przed decyzją, czy chce taką deklarację złożyć.

Z jednej strony Marek nie był najbardziej otwartą i wylewną osobą pod słońcem (w zasadzie chwilami bliżej mu było do kogoś cierpiącego na jakąś łagodną postać autyzmu) i Ewa miała czasem wrażenie, że jej chłopak jest naprawdę z innej planety. Ale czy jest na świecie kobieta, która nie pomyślała tak choćby raz o swoim facecie? Z drugiej strony Marek był kimś, z kim można było coś budować. A ona chciała budować. Chciała iść do przodu i sięgać po więcej.

Zdecydowała się. Zamieszkała u niego. Miał wady, to nie ulegało wątpliwości, ale kto ich nie ma? Ewie dość łatwo przychodziło ich ignorowanie, co zrobiła też podczas tej rozmowy.

– Wszystko ci opowiem wieczorem. Zrobię kolację, uczymy to. *Cuisine française*. – Zaśmiała się i pobiegła zrobić zakupy.

Wybór serów w najlepszych olsztyńskich delikatesach nie zwał z nóg, ale to nie mogło zmącić jej szampańskiego nastroju. Właśnie – szampan! Okazało się, że prawdziwy (o dziwo, był!) kosztuje stanowczo zbyt wiele, nawet jak na taką okazję, więc z żalem zrezygnowała z tego szaleństwa i zadowoliła się winem musującym. Wkładając do wózka bagietkę, nagle zamarła. Ciekawe, że pomyślała o tym dopiero teraz. Przecież wyjazd oznaczał wielomiesięczną rozłąkę z Markiem! Jednak od razu w jej głowie pojawiły się argumenty łagodzące wymowę tego faktu: są tanie loty, jest Skype. W dzisiejszych czasach fizyczna rozłąka nie oznacza tego samego, co jeszcze kilka lat temu, kiedy nie było tych wszystkich urządzeń, dzięki którym bez problemu można się komunikować z całym światem. A może Marek będzie mógł

przyjechać na trochę? Przecież często pracuje zdalnie, z za komputera, i wszystko jedno, gdzie przebywa. Reasumując, mieli sporo do obgadania przy francuskiej kolacji.

Ale wieczór nie potoczył się tak, jak sobie zaplanowała. Marek od razu po powrocie do domu rozwalił się na kanapie z talerzykiem, na którym ułożył sobie zestaw serów i kiść winogron. Na jej protesty oświadczył, że nie może odpuścić finału ligi siatkówki, i pociągnął ją za sobą na sofę. Wkurzyła się, ale nie chciała robić awantury, zresztą wiedziała, że Marek nie znosi zrzędzenia i jest w stanie wyjść z domu, żeby obejrzeć mecz w pubie, jeśli poczuje się przyparty do muru. W przerwie meczu objął ją i powiedział:

– No przecież się cieszę. I gratuluję, geniuszu...

Uśmiechnęła się lekko. Nie był to wprawdzie kosz kwiatów, ale wiedziała, że mówi szczerze i że jak na niego to całkiem duży wyczyn w dziedzinie wylewności. Wstała, żeby dolać im wina, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć, tato. Mama ci powiedziała? – Ewa zdążyła już opowiedzieć wszystko matce i zdziwiła się, że ojciec zadzwonił. Nie miał w zwyczaju używać telefonu do pogawędek, które nie miały wyraźnie praktycznego celu, ale może go nie doceniała: taki sukces córki musiał zrobić na nim wrażenie. – Co? Co ty mówisz, tato!? – Przez następną minutę powtórzyła to pytanie jeszcze wiele razy, mając uczucie, że czas stanął w miejscu, a ona spada w ciemną studnię bez dna. Wreszcie jakby któreś z połączeń neuronów w jej mózgu nagle zaskoczyło i do jej świadomości dotarła informacja, którą właśnie przekazywał jej ojciec.

Wtedy wszystko się skończyło. Naturalnie Ziemia nie wstrzymała ruchu wokół Słońca, a ludzie w każdym możliwym miejscu świata nie przestali jeść, kochać się i załatwiać swoich bardziej lub mniej ważnych spraw, ale dla niej to był koniec. Koniec

dzieciństwa i życia takiego, jakie znała i rozumiała. Osunęła się na kanapę.

– Coś się stało? – mruknął Marek, nie odrywając wzroku od telewizora.

Zanim odpowiedziała, upłynęła długa chwila wypełniona przesadnie egzaltowanym słowotokiem komentatora meczu, który jednak nie przebijał się do świadomości Ewy.

– Moja mama nie żyje.

## ROZDZIAŁ 2

W pekaesie cuchnęło spalinami. Ewa wierciła się w wąskim fotelu, nie mogąc znaleźć w miarę wygodnej pozycji. Gruby jegomość, który wsiadł w Biskupcu, zajmował nie tylko sąsiednie miejsce, ale i część jej siedzenia. Przysypiał, a jego świszczący oddech nieprzyjemnie pachniał. Spocona i ciężka ręka mężczyzny co chwilę spadała bezwładnie na udo Ewy. Dziewczyna jednak nie reagowała. Było jej wszystko jedno. Patrzyła przez okno niewidzącym wzrokiem, czując, jak gdzieś wewnątrz cała się kurczy. Starła się ze wszystkich sił nie rozplakać – nie daj Boże, komuś przyszłoby do głowy wypytywać ją o powód i pocieszać. Nie chciała litości obcych ludzi. Zagryzała wargi i powstrzymywała łzy, ale miała wrażenie, że tamowana rozpacz za chwilę rozsadzi ją od środka.

Minęli Mrągowo, o tej porze roku już głośnie i tętniące życiem. Autokar na rondzie skręcił w stronę Kętrzyna. Chwilę później skończył się gładki asfalt i zaczęli podskakiwać na wybojach. Okolice była malownicza. Wiosna w pełni tętniła życiem i urodą. Soczysta zieleń lasów i pola schodzące wprost do mazurskich jezior nęciły turystów, których tłumy wypoczywały w okolicy.

Długie weekendy to przecież polska specjalność. Trzy dni urlopu, tydzień z okładem wypoczynku. Beztroscy i uśmiechnięci letnicy spacerowali poboczem albo pedałowali z wysiłkiem na swoich modnych rowerach górskich. Szczerze mówiąc, Ewa nie mogła dziś na nich patrzeć.

Gruby współpasażer na szczęście wysiadł w Mrągowie i zrobiło się luźniej. Dziewczyna zdjęła buty i podciągnęła kolana pod brodę, obejmując nogi ramionami. Westchnęła ciężko, aż kobieta z siedzenia przed nią odwróciła się, chcąc sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ewa uśmiechnęła się do niej zdawkowo, by uniknąć rozmowy, i oparła czoło na kolanach, zamykając oczy. Zaraz będzie w domu. Mój Boże, jak bardzo nie chciała tam być!

Kiedy kilka lat wcześniej spakowana w dwie wielkie torby podróżne wyjeżdżała na studia do Olsztyna, w głowie dźwięczały jej słowa mamy, która od zawsze powtarzała jej: „Ewciu, ja wiem, że ty stąd wyjedziesz. Musisz wyjechać. Nic tu po tobie, nie dam ci się zmarnować”. Już wtedy czuła, że za tymi słowami kryło się coś więcej niż tylko pragnienie zrobienia z córki „miastowej” – w dużym stopniu chodziło o rozczarowanie mamy jej własnym życiem. Nigdy nie skarżyła się głośno na swój los, choć każdy wiedział, że nie było jej łatwo. Zamiast płakać nad sobą, wolała wszystkie niespełnione nadzieje i aspiracje ulokować w najstarszej córce. Ewa była mądra i piękna. Zbyt mądra na mazurską wieś, zbyt piękna na popegeerowskie realia. Tak przynajmniej powtarzała mama za każdym razem, gdy Ewa przynosiła ze szkoły kolejną dobrą ocenę, gdy pokazywała z dumą świadectwo z czerwonym paskiem, gdy na ulicach oglądali się za nią chłopcy.

– Chcę, żebyś poszła na studia. – Ewa doskonale pamiętała tę chwilę, kiedy mama stanęła w drzwiach jej pokoju. To był dzień, w którym zaczęła ostatnią klasę liceum. – Od dawna już odkładam pieniądze. Mam oszczędności, więc ci pomogę, a ty musisz się tylko uczyć, żeby się dostać na uniwersytet.

Ewa pamiętała, że miała wtedy łzy w oczach. Wstała od biurka, by ją uściskać.

– Mamuś, to dla mnie najważniejsze słowa w życiu. Dziękuję ci, zobaczysz, że się dostanę.

– Wiem. – Mama potarła jej włosy, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy Ewa była małą dziewczynką. – Nigdy mnie nie zawiodłaś. – Spojrzała jej w oczy. – Nie możesz tu zostać, bo zwiędniez – dodała, a Ewa w myślach dopowiedziała: „Tak jak ty, mamó, zwiędłaś w tej cholernej Wężówce...”.

\*

Ewa była zbyt zamyślona, by skupić się na drodze. Kiedy zza zakrętu wyłoniły się znajome zabudowania Wężówki, dziewczyna w ostatniej chwili zerwała się z siedzenia, wołając:

– Stop, niech się pan zatrzyma!

Kierowca wcisnął z całej siły hamulec, zaklął pod nosem i obrzucił ją nieprzyjaznym spojrzeniem, gdy przeciskała się obok jego fotela, wysiadając. Gdy autobus odjechał, Ewa została na przystanku sama. Odrapany, zardzewiały znak drogowy, który stał tu od dziesięcioleci, był częściowo zamalowany sprayem, pewnie przez któregoś z nudzących się po szkole miejscowych nastolatków. Z wiaty przystanku też niewiele się ostało; wewnątrz cuchnęło moczem, a w miejscu, gdzie kiedyś była ławka, straszył tylko jej metalowy szkielet. Ewa z ciężkim westchnieniem postawiła na nim torbę i sięgnęła do kieszeni. Marek napisał? Nie, nie odezwał się ani słowem. Właściwie to się nawet nie zdziwiła. Nie po tym, jak kompletnie nie umiał się odnaleźć w nowej sytuacji. Zachował się po prostu jak nieczuły dupek. Nie potrafił jej ani pocieszyć, ani pomóc, ani nawet przytulić. Tego wieczoru, kiedy zadzwonił ojciec, Marek, zamiast jakkolwiek ją wesprzeć, posiedział obok niej chwilę, raz czy dwa podał

chusteczkę do nosa, po czym oznajmił, że pójdzie zrobić coś do jedzenia, a następnie, wykorzystując moment, kiedy Ewa rozmawiała przez telefon ze swoją najlepszą przyjaciółką Sylwią, zaszył się w sypialni z konsolą do gry. Naprawdę – więcej wsparcia dostała od sąsiadki, pani Belli, której wystarczyło jedno spojrzenie na Ewę następnego dnia, by wiedzieć, że zdarzyło się coś strasznego. Marek jakby wyłączył sobie w mózgu funkcję „empatia”.

Mama nigdy za nim nie przepadała. Gdy Ewa zabrała go do Węzówki, zrobił fatalne wrażenie: nie integrował się, nie rozmawiał, tylko biegał po okolicznych pagórkach z laptopem i szukał zasięgu sieci komórkowej, klnąc, że „w tej cholernej dziurze nic nie działa”, a przecież on musi wysłać projekt. Marek – człowiek projekt. Mama stała wtedy na ganku i ze zdumioną miną przyglądała się rozhisteryzowanemu chłopakowi brnącemu przez kwitnące kępy wrzosów porastających łąkę za domem z komputerem uniesionym nad głową.

– Ewuś, czy ty jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? – zapytała wtedy, otulając się szczerlnie wielkim wełnianym swetrem. – Zastanów się jeszcze.

Ale Ewa była wtedy przekonana, że Marek to najlepsze, co mogło się jej przytrafić.

Na wspomnienie mamy tłumione emocje wzięły górę i krótki szloch szarpnął jej piersią. Szybko się jednak opanowała, otarła mokre oczy wierzchem dłoni i ruszyła w stronę domu z torbą zarzuconą na ramię.

Szła przez wieś zdumiona, jakim cudem na drodze nie ma żywej duszy. „Czy naprawdę życie tych ludzi toczy się przed telewizorem?” – myślała, ale w gruncie rzeczy tym razem cieszyła się, że nikogo nie spotyka; nie miała najmniejszej ochoty z nikim rozmawiać ani przyjmować kondolencji.

Węzówka napawała ją egzystencjalnym smutkiem. W tym miejscu wszystko było przeciwieństwem tego, co uważała za

prawdziwe i udane życie. No bo jak można żyć pełną piersią na tym końcu świata, gdzie diabeł mówi dobranoc, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, kotłując się w klaustrofobicznej atmosferze podsycanej przez proboszcza, który szczuje ludzi na siebie i manipuluje nimi, jeśli tylko widzi w tym interes? Ta wieś była miejscem, z którego można tylko uciekać. Od tych przeklętych pól obsianych zbożem, na które miała uczulenie, od tych łąk, na których jako mała dziewczynka musiała czasem w wakacje pasać krowy, od tych jezior, których brzegi całe lato były upstrzone wesołkowatymi i podpitymi wczasowiczami z miasta; ich stosunek do miejscowej ludności i do przyrody pozostawiał na ogół wiele do życzenia. „Mazury latem to wychodek Polski – mawiał często ojciec. – Zastrane wszcz i wzdłuż, aż się człowiek boi iść do lasu na jagody, żeby nie wdepnąć”.

Dom, który rodzice Ewy odziedziczyli po dziadkach, znajdował się nieco na uboczu. Droga prowadziła wśród pól i wiła się między pagórkami. Dopiero jakiś kilometr za ostatnimi zabudowaniami wsi ze wzniesienia widać było gospodarstwo, które chowało się w kotlinie przed wzrokiem ludzi. Mało kto tam zaglądał, no może oprócz warszawiaków poszukujących domów na letnie siedliska. Mama mówiła, że każdego roku co najmniej cztery albo i więcej rodzin z Warszawy podjeżdżało pod dom z propozycją, by go za psie pieniądze kupić. Miastowi byli pod wrażeniem miejsca otoczonego bujnym wrzosowiskiem, zmieniającym kolor wraz z porami roku. Mama śmiała się z tego ich pędu do natury i odprawiała z kwitkiem. „Nie dla psa kiełbasa” – mówiła. A siedlisko i owszem – byłoby piękne. Dom wymagał wprawdzie gruntownego remontu, bo tynk kładziony jeszcze przez dziadka Ewy sypał się tu i ówdzie, a zielone ramy okienne toczyły korniki, ale nie można było odmówić temu miejscu uroku. Piętrowy wiejski dom z dachem pokrytym starą ceglastą dachówką, z bocianim gniazdem na

słupie elektrycznym i dużą drewnianą werandą obrośniętą winoroślą. Latem winogrona spadały na głowy siedzących na werandzie. Jako dzieci Ewa i jej siostry kładły się często na drewnianej podłodze, otwierały buzie i czekały, aż małe słodkie owoce spadną prosto do ich ust.

\*

Stary fioletowy bez, który rósł przy bramie wjazdowej, aż się trząsał – roje os i pszczoł pracowały na nim niestrudzenie od wschodu do zachodu słońca, wyjadając nektar z kwiatów. Ewa stanęła i zaciągnęła się głęboko jego zapachem. Łzy popłynęły jej po policzkach.

Azor, wielki kundel o wyglądzie groźnego wilka, zawył zza stodoły i z głośnym ujadaniem pobiegł w stronę bramy. Na widok Ewy zaczął merdać wesoło ogonem i szczekał, kręcąc się w kółko.

– Kochany Azor! Stęskniłeś się za mną? – Ewa wytarosiła szczęśliwe i podskakujące w szaleńczym tańcu psisko i ucałowała jego wielki pysk.

Na ganku leżało rozrzucone pranie, tak jakby ktoś je cisnął na ziemię i uciekł. „Dobrze, że Azorowi nie przyszło do łba rozwlec tych wypranych prześcieradeł i ręczników po całym obejściu” – pomyślała Ewa.

– Kochany jesteś, Azor. Dobry Azor.

Psisko wsunęło łeb pod dłoń Ewy, domagając się kolejnych pieszczot.

Dziewczyna postawiła torbę na drewnianej podłodze i zaczęła zbierać rozrzucone poszewki i prześcieradła. Nagle drzwi domu uchyliły się i wyrzała z nich mocno rozjaśniona perhydrolem głowa nastolatki.

– Cześć, Maryśka! – Ewa odłożyła pranie na ławę. – Przyjechałam.

Marysia miała czternaście lat, ale od jakiegoś roku stroiła się tak, że spokojnie można było wziąć ją za osiemnastolatkę. Opięta do granic możliwości bluzka bez ramiączek z cekinową aplikacją, zdecydowanie za skąpe krótkie spodenki i wyraźnie zbyt duża ilość samoopalacza na Marysinych nogach nieco zdumiały Ewę. Owszem, mama wspominała jej ostatnio przez telefon, że Mańka z impetem wkroczyła w wiek dojrzewania, ale dziewczyna nie sądziła, że jej siostra stała się jedną z tych okropnych, pozbawionych samokrytycyzmu i gustu lolitek.

Niezależnie jednak od kontrowersyjnego wyglądu najmłodsza siostra przede wszystkim przedstawiała obraz prawdziwej rozpaczki. Zapuchnięta od płaczu, z rozmazanym makijażem na policzkach wyglądała strasznie.

Spojrzała na pranie, które Ewa ułożyła w koszu, i powiedziała łamiącym się głosem:

– Dziękuję, że to zebrałaś, musiałam się na czymś wyżyć... – Po tych słowach tama powstrzymująca dotąd jakimś cudem falę powodziową puściła. Marysia rozplakała się tak, jakby już nigdy nie miała przestać.

– Maniu, kochanie... – Ewa wyciągnęła ręce do siostry i przytuliła ją.

Pachnąca lakierem do włosów głowa Mani wtuliła się w pierś Ewy. Łzy dziewczynki pozostawiały czarne zacieki tuszu. Ewa głąskała siostrę po sztywnych włosach i sama też wierzchem dłoni wycierała łzy z policzków. Mania szlochała tak, że prawie nie mogła złapać oddechu. Ewa cierpliwie gładziła ją po plecach, aż poczuła, że siostra się uspokaja. Wtedy sięgnęła do torebki i wytarła jej twarz chusteczką.

– Chodźmy – powiedziała.

Mania posłusznie poddała się woli starszej siostry.

Weszły do środka.

W domu śmierdziało przypalonym jedzeniem. Telewizor grał głośno, ale nikogo nie było ani w kuchni, ani w dużym pokoju.

– Gdzie są wszyscy?

– Bartek śpi, Hanka najpewniej w kościele, a ojciec to na pewno poszedł, wiesz gdzie. – Mania spojrzała na siebie w lustrze w przedpokoju z przerażeniem. – Dżizas, jak ja wyglądam!?

Pobiegła do łazienki. Ewa westchnęła i usiadła ciężko na kanapie przed telewizorem. Sięgnęła po pilota i wyłączyła program. Zapadła głucha cisza. „Że też nawet w takiej chwili on się nie może wziąć w garść” – pomyślała z rozdartym sercem o ojcu, mając w pamięci obraz rozhisteryzowanej Marysi.

Tyle razy, kiedy jeszcze mieszkała w Wężówce, szła po niego pod sklep albo jechała z mamą do Waplewa do tego przeklętego baru. Ojciec wytaczał się, ledwo powłócząc nogami i bełkocząc coś niewyraźnie, z dopalającym się petem w kąciku ust. Brała go wtedy pod ramię i ciągnęła do domu albo pomagała mamie wsadzić go na tylne siedzenie ich wysłużonego fordka, w którym rdza przeżarła już chyba wszystko prócz dachu.

To było wtedy takie naturalne: jechać po ojca, przywieźć go do domu, zanim zaśnie gdzieś po drodze pod drzewem albo narobi jakichś głupot. Choć był raczej spokojny, po prostu uchlewał się na smutno z tymi typami ze wsi. Zostawiał mamę samą ze wszystkim, odkąd Ewa pamiętała. Ale bywały też okresy, kiedy zbierał się w sobie. Cyklicznie: góra, dół, góra, dół – i tak przynajmniej od kilkunastu lat.

To było kolejne błogosławieństwo pójścia na studia do Olsztyna: koniec oglądania żenujących występów ojca, za które trzeba było świecić oczami przed całą wsią. Co prawda, wyjeżdżając, Ewa martwiła się, jak mama sobie z tym wszystkim sama poradzi, na szczęście jednak ojciec miał wtedy jakąś lepszą fazę, wszystko szło gładko, ze sporadycznymi tylko upadkami.

„Aż do teraz – pomyślała Ewa. – Teraz już nigdy nie będzie żadnej lepszej fazy, dla nikogo w tym domu”.

– Marysia, zjemy coś? – zapytała. Wcale nie była głodna, ale chciała zająć uwagę siostry czymś zwyczajnym. Znalazła w kuchni placki ziemniaczane sprzed kilku godzin. – Mamy coś do tych placków?

Marysia dołączyła do niej w kuchni, przynosząc ze sobą świeżą chmurę duszącego zapachu, który przywodził na myśl coś różowego i tak słodkiego, że aż mdlącego. Ewa postanowiła to zignorować. Podgrzały placki i polały je śmietaną. Usiadły, starając się przekonać jedna drugą, że zjedzenie czegoś to całkiem dobry pomysł.

– Marysia... – odezwała się Ewa po chwili grzebania widelcem w miękkim placku. – Jak to się wszystko stało?

Dziewczynce znów zaszkliły się oczy. Spuściła głowę i westchnęła ciężko.

– Ewa, no ja nie wiem, jak to możliwe, żeśmy wcześniej tego nie wiedzieli. – Pokręciła głową. – Mama miała alergię na jad szerszeni.

– Ojciec mi mówił, ale, Maryś, ja cały czas nie wierzę... Jak można umrzeć od użądlenia szerszenia?

– Jak widać można... Wstrząs anali... anafilaktyczny czy ja-koś tak. Przybiegła do domu, krzyczała, że ją podziabaly szerszenie, że musi szukać wapna. Jeszcze ojciec powiedział: „Po co ci wapno? Wycisnąć trzeba”, a jej już wtedy zaczęło puchnąć gardło i naprawdę to nie trwało długo... – Marysi zadrżał głos. Odchrząknęła. – Ojciec się rzucił na ratunek, my zresztą też, oddychanie usta-usta, masaż serca, ale nie mogliśmy nic zrobić bez tych leków, co, jak się okazało, ona powinna zawsze przy sobie nosić. Jak przyjechało pogotowie, już było po wszystkim... – Ostatnie zdanie przeszło w spazm.

Ewa nienawidziła się w tej chwili za to, że ją tak męczy. Ale musiała się dowiedzieć. Wytarła oczy serwetką.

– Ale powiedz, bo ja nie pamiętam: ona nigdy nie miała jakichś innych objawów uczulenia? Nie wiem, na osy, na komary?

– No, raz ją pocięły osy, jak to gniazdo pod dachem stodoły ojciec rozwalił. Pamiętam, że mocno jej te ukąszenia popuchły i nawet się wybierała do lekarza, ale w końcu jakieś okłady sobie robiła i minęło. Tu nie minęło... – Marysia chlipnęła. – Lekarka powiedziała, że tamto ukąszenie wzmogło jej bardzo to uczulenie. Że może innego by to nie zabiło, ale mamę pokonało. – Mania zawyla jak zbity pies. – To było straaaszne!

Ewa przysunęła się do niej i mocno przytuliła.

– Jak my przeżyjemy ten pogrzeb...

Siedziały tak wtulone w siebie dłużej chwilę. W końcu dziewczynka odezwała się cicho.

– Ojciec ponoć już pozałatwiał i w gminie, i u księdza. Nikt mu kłopotów nie robił, wszyscy tu wiedzą, co się stało. Pogrzeb w piątek o dziesiątej.

– Na górce?

– No tak. Tam gdzie babcia i dziadek, w tym samym grobie.

Po kolacji Ewa pozmywała naczynia i wygoniła Marysię spać. Sama zajrzała do pokoju Bartka. Chłopiec leżał twarzą do ściany.

Kiedyś nie potrafiła poprawnie wypowiedzieć nazwy tej cholernej choroby. Mukopolisacharydoza. Nawet nie to, że Bartuś urodził się inny. No może trochę. Ale tak naprawdę inny zaczął się stopniowo robić. Był jakby trochę przykurczony, za bardzo chorowity, wyniknęły jakieś kłopoty z sercem. I jego twarz – zaczął mieć takie grube rysy, jak nikt inny w rodzinie. Od lekarza do lekarza, od szpitala do szpitala. Nikt nie wiedział, co mu jest. Leczyli go na serce, wątrobę, stawy, uszy, był u różnych psychologów i psychiatrów. Kiedy w końcu trafił na badania do specjalistycznego warszawskiego ośrodka, diagnoza „mukopolisacharydoza typ II, inaczej zespół Huntera” zabrzmiała dla całej rodziny jak jakieś zaklęcie czarnej magii. Grypa, żółtaczka,

nadciśnienie, rak – o takich chorobach się słyszy, coś się wie, a tu? Tylko kilkadziesiąt osób w całym kraju choruje na huntera – tak powiedział im lekarz, który w końcu wpadł na pomysł, co się dzieje z Bartkiem. Szok był ogromny. Z czasem trochę przywykli, pogodzili się z chorobą chłopca, z tym, że nigdy nie będzie zdrowy. To niezwykle rzadkie schorzenie genetyczne wyniszczało po kolei jego narządy. Niestety ostatnio z Bartkiem było coraz gorzej. Mniej więcej od roku. Jakby go choroba coraz mocniej zagarniała. Mimo rehabilitacji, której mama nigdy nie odpuszczała. Najpierw tylko jeździli do Olsztyna, a potem mama sama przeszła specjalny kurs i dodatkowo rehabilitowała go w domu. I wciąż czekali na jakiś cudowny lek. Podobno był już nawet wymyślony, gdzieś w Szwecji. Ale na razie nie mogli nawet marzyć o tym, że ktoś wesprze leczenie tak rzadkiej choroby.

Bartuś spał spokojnie, oddychał miarowo. Ewa przykryła go kołdrą i pogłaskała po głowie.

Po drodze z łazienki do swojego pokoju zatrzymała się przy sypialni rodziców. Chciała tam wejść i nie mogła. Zaczęła płakać i ukrywając twarz w ręczniku, pobiegła na górę. W jej sypialni wszystko czekało, jakby nic się nie wydarzyło, ręką mamy odkurzone, ręką mamy poskładane.

– Jak mam dalej żyć bez ciebie, mamo? – powiedziała na głos, gasząc nocną lampkę przy łóżku.

\*

Rano z kuchni bardzo wcześnie zaczęły dochodzić odgłosy krzątania. Mania i średnia córka Ochników Hanka robiły sobie śniadanie, hałasując talerzami. Ojciec, który w nocy wrócił podpity, już też był na nogach i usiłował doprowadzić się do takiego stanu w wannie. Ewa otworzyła oczy na dźwięk trzaskających drzwi łazienki. Usłyszała, jak ojciec tłumaczy Hance – która

po wakacjach szła do klasy maturalnej – że nie powinna znikać wieczorami z domu, zwłaszcza teraz.

– I kto to mówi!? – wrzeszczała wściekła Hanka. – Ten, co specjalnej eskorty potrzebuje, żeby do domu na noc trafić?

– Nie mów tak do mnie! – W głosie ojca brzmiały już żałosne i płaczliwe nuty.

– Będę mówić, jak mi się podoba! Nie będziesz mną rządził. Jakie ty masz prawo, żeby mną rządzić? To ciebie wczoraj tu Maniek przywłókł, a nie mnie. Ja o własnych siłach wracam do domu! – Hanka jak zwykle rozkręcała konflikt.

Od urodzenia była czupurna i butna. Stawiała się wszystkim i nie uznawała żadnych autorytetów. Nawet z mamą darła koty. Była wysoka i szczupła, wyglądała jak modelka – albo jak patyk, tak mawiała o niej mama, zamartwiając się, że Hania jest zabiedzona. Dziewczyna zaś spalała mnóstwo energii, będąc po prostu niesamowicie żywiołową osobą. Przy niej nie można było się nudzić, co to, to nie. Wyrazem jej buntu przeciwko światu i rodzinie było już wiele rzeczy: najpierw kolorowe pasemka we włosach, potem rockowa muzyka, której echo niosło się po okolicy. Ostatnią metodą podkreślenia przez Hankę niezależności wobec rodziny stało się bardzo poważne zaangażowanie w ruch oazowy. Nastolatka, która do niedawna miała kompletnie za nic sprawy duchowe i Kościół, nagle jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki zmieniała się o sto osiemdziesiąt stopni. Biegała na spotkania Ruchu Światło-Życie do zakrystii w parafii, nowo odkrytą religijnością afiszując się przed członkami rodziny, którzy – jak wielu w ich wsi – ograniczali się do mszy w niedzielę i dawania na tacę. „Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek” – mawiała nieraz mama. Hanka zaś z wywyższością osoby, która więcej wie i więcej rozumie, patrzyła na swoją rodzinę z politowaniem. Ewa miała jednak wrażenie, że choć siostra spędza w kościele mnóstwo czasu, to duch chrześcijańskiego miłosierdzia jakoś słabo

się jej ima. Bóg Hanki był raczej tym srogim ojcem ze Starego Testamentu.

Słyszając dochodzące z dołu krzyki, Ewa uznała, że chyba najwyższa pora, by wstać. Owinęła się szlafrokiem i zeszła po schodach.

– Nie kłóćcie się, nie teraz – powiedziała cicho.

Hanka i ojciec spojrzeli w stronę schodów, zaskoczeni jej widokiem.

– Ewuś, kochanie! – powiedział ojciec drżącym głosem i zrobił krok w jej kierunku. – Jak dobrze, że przyjechałaś. – Wyciągnął do niej rękę i objął ją.

Śmierdział przetrawionym alkoholem i papierosami, ale Ewa nie chciała mu tego teraz wypominać.

Hanka prychnęła i przewróciła oczami.

– Hanka, przestań się tak zachowywać, proszę cię. – Ewa uwolniła się z ojcowskiego uścisku i sięgnęła po dłoń młodszej siostry. – Nie teraz.

– Szczerze? Mam ci powiedzieć szczerze? Nie bądź taka mądra, bo gównu wiesz, Ewa – warknęła Hanka. – Przyjechałaś sobie, posiedzisz chwilę i znikniesz, jak zwykle. Zostawisz nas tu, i tyle cię widzieli.

Ewa poczuła, że palą ją policzki.

– Przestań, Hania, nie mów tak. – Próbowała pogładzić siostrę po rękę.

– No co, może nie mam racji? Posiedzisz, popłaczesz sobie, na pogrzebie oczami poświęcisz, żeby wieś widziała, a potem znów się tu przez pół roku nie pojawisz. I wiesz co? Masz rację, nie przyjeżdżaj, bo nic tu już po tobie. Pani magister, niech ją szlag! – Hanka wyrwała dłoń z uścisku Ewy i wybiegła z kuchni, trzaskając drzwiami.

Marysia i ojciec milczeli. Ataki szału w wykonaniu Hanki oglądali na co dzień i już kompletnie nie robiły na nich wrażenia. Ewa zdjęła z nadgarstka gumkę i zwinęła włosy w kok.

– Przejdzie jej – zawyrokowała. Sięgnęła po chleb, zrobiła sobie kanapkę z serem i zaczęła jeść w milczeniu. – Co z pogrzebem? – zagadnęła po dłuższej chwili.

– Wszystko już załatwione – odpowiedział ojciec.

– Rodzinę obdzwoniłeś?

– Tak, przyjadą. Ciotka Halinka będzie u nas nocować, bo nie zdąży na ten swój pociąg.

– Jasne. – Ewa nalala sobie herbaty z dzbanka. – Chcesz jeszcze? – zapytała milcząco Marysię.

– Nie, dzięki. Idę do Bartka. – Marysia wstała od stołu.

Ewa odczekała, aż młodsza siostra zniknie za drzwiami, i zapytała:

– Tato, a jak Bartek to przyjął?

– Niedobrze, Ewuś, niedobrze. Nic, tylko leży i śpi. Nie chce jeść, nie chce ćwiczyć. Gorzej z nim i nie wiem, co robić. Dobrze, że przyjechałaś, bo pytał o ciebie ostatnio ciągle. Może ty będziesz umiała go jakoś pocieszyć – odpowiedział ojciec i zamilkł, wpatrzony gdzieś przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Pobądź z nim, zanim wyjedziesz, on cię potrzebuje bardziej niż wszyscy inni – dokończył cichym głosem.

Marysia zawołała ze schodów:

– Ewa, chodź na górę.

Głos siostry wyrwał ją z otępienia.

– Już – powiedziała i wytarła usta serwetką.

Bartek siedział na łóżku. Miał już siedem lat, ale wyglądał na znacznie młodszego. Jego buzia, zmieniona przez chorobę, była smutna.

– Bartuś, zobacz, kto przyjechał – zaszczębiotała Marysia, starając się nadać głosowi jak najweselszy ton.

Chłopczyk nawet nie podniósł zwieszanej głowy.

– Bartuś, to ja – z trudem odezwała się Ewa, starając się trzymać fason, choć serce pękało jej właśnie na tysiąc maleńkich kawałeczków.

Na dźwięk jej głosu Bartek drgnął. Ewa przysiadła się do brata i przytuliła go z całej siły.

– Myszko, już jestem z wami. Zobacz, przywiozłam ci nową zabawkę. – Podała mu pluszowego kota, który miauczał, gdy nacisnęło mu się brzuszek.

Bartek spojrział z zainteresowaniem na zabawkę.

– Braciszku, musisz coś zjeść i poćwiczmy sobie razem, dobrze?

Bartus wtulił twarz w jej szlafrok i zaniósł się płaczem. Ewa zagryzła wargi.

\*

Dzień pogrzebu był piękny i słoneczny. Na mszę żałobną do kościoła przyszło dużo ludzi – wszyscy we wsi żyli z Dorotą Ochnikową dobrze, lubili ją i szanowali. Zresztą trudno było jej nie lubić. Zawsze pomocna, zawsze z dobrym słowem dla każdego. Nie oceniała innych, nie życzyła źle nikomu. Nawet największe wsiowe zakapiory kłaniały się jej na drodze. I kilku z nich też stało dziś pod kościołem podczas nabożeństwa. Być może nie byli trzeźwi, ale trzymali fason. Ochnikowa tu nie pasowała, wszyscy to widzieli, ale jednocześnie zachowywała się tak, że każdy miał po niej dobre wspomnienia. Poza tym jej nagła śmierć, której nic nie zwiastowało, zrobiła na sąsiadach ogromne wrażenie – ludzie umierają ze starości albo na raka, a nie z powodu ataku owadów.

Przed kościołem do Ewy podeszli jej przyjaciele z Olsztyna: Krystian, Ola i Weronika. Ewie wzruszenie ścisnęło gardło. Wiedziała, że musieli wrócić szybciej z wakacji w Grecji, by się tu dziś zjawić. Była im za to wdzięczna. Uściskali ją w milczeniu.

– Dziękuję, że jesteście – wykrztusiła Ewa.

Ksiądz wygłosił całkiem ładne kazanie, w każdym razie jak na jego nie najwyższe standardy. I nawet nie wspomniał o datkach na Radio Maryja.

Kiedy wynoszono trumnę z kościoła i zabrzmiało *Dziś moją duszę w ręce Twe powierzam*, Ewa założyła ciemne okulary, wzięła pod rękę zgarbionego i roztrzęsionego ojca i ruszyła za trumną. Marysia i Hania, zanosząc się łkaniem, pomogły niewiele rozumiejącemu z całej tej sytuacji Bartusiowi wyjść spomiędzy ławek i razem podążyli za tamtą dwójką. Reszta rodziny i wszyscy przybyli sąsiedzi, znajomi i nieznajomi ustawili się w długi kondukt, który ruszył powoli na górkę cmentarną. Roztaczał się stamtąd piękny widok na jezioro w dole i okoliczne pola. Przyroda tętniła życiem, trawa na łąkach falowała, owady brzęczały w kwiatkach, wiatr marszczył delikatnie tafłę jeziora.

Przy grobie ułożono wieńce – od rodziny, koleżanek, naczelnika poczty w Reszlu, gdzie Ochnikowa pracowała przez wiele lat przy okienku. Ewa w odrętwieniu patrzyła, jak grabarze zasypują ziemią trumnę.

– Piękne miejsce na wieczny odpoczynek będzie miała wasza mama – szepnęła Ewie do ucha wysoka, efektowna blondynka w cienkiej czarnej sukience. – Płacz, kochana, ulży ci.

– Sylwia, jak dobrze, że jesteś... – Ewa z całej siły przywarła do przyjaciółki.

Sylwia Radkowska była od zawsze najlepszą przyjaciółką Ewy. W dzieciństwie były nierozłączne, zawsze i wszędzie razem: w podstawówce, w liceum, w kościele. Jedna dla drugiej skoczyłaby w ogień. Nieraz już jako dorosłe kobiety z uśmiechem politowania dla swojej ówczesnej głupoty wspominały, jak za pomocą tępej żyłетки zawarły „siostrzeństwo krwi”, kalecząc dłonie tak, by ich krew zmieszała się na piasku. Sylwia dorobiła się w wyniku tego obrzędu zakażenia i trzeba było z nią jechać na pogotowie. „Dobrze, żeście się, wariatki, żółtaczką albo tężcem nie pozarażały” – grzmiał stary lekarz, który opatrzył ranę i przepisał antybiotyki. Ale tężec i żółtaczką nie były im straszne – przecież już kiedyś otarły się o śmierć.

To było bardzo upalne lato pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Jezioro było spokojne i ciepłe, kąpały się od samego rana pod niespecjalnie czujnym okiem starszego brata Sylwii. Kiedy Ewa zaczęła tonąć, nikt prócz Sylwii nie usłyszał jej słabnącego głosu. Przyjaciółka rzuciła się na pomoc i cała wieś zachodziła potem w głowę, jak ta mała dziewczynka to zrobiła, skąd wzięła siłę, by zanurkować na dno jeziora i wyciągnąć stamtąd Ewę na brzeg.

Potem Ewa wyjechała na uniwersytet, a Sylwii niestety nie udało się dostać na wymarzoną anglistykę. Ale była silną kobietą, skończyła studia zaocznie, dojeżdżając do Olsztyna na weekendowe zjazdy, została w rodzinnych stronach i uczyła wiejskie dzieci angielskiego. Mimo oddalenia i sporadycznych kontaktów przyjaciółki nadal pozostawały dla siebie ważne. Wiedziały, że mogą liczyć na swoje wsparcie w najgorszych chwilach. Kiedy tylko Sylwia dowiedziała się o śmierci pani Doroty, natychmiast zadzwoniła do Ewy, przepraszając, że jej przy niej nie ma – akurat była z uczniami na wycieczce w Warszawie. Na szczęście zdołała wrócić niemal prosto na pogrzeb. Obecność Sylwii bardzo dużo dla Ewy znaczyła.

\*

Stypy miało nie być. Ojciec upierał się, że nie ma pieniędzy na takie wydatki, dopóki ciocia Halinka, jego kuzynka, nie zaczęła mu suszyć głowy przez telefon, że nie wypada, że go wieś obgada, że to, że tamto. W końcu – jak zwykle w takich wypadkach – ojciec zmiękł. Za stołem w ogrodzie zasiedli więc po pogrzebie rodzina, sąsiedzi, ksiądz proboszcz, a między nimi uwijała się ciotka Halinka, jakby to ona była gospodynią w tym domu. Marysia i Hanka dawno już zniknęły z imprezy, usprawiedliwiając się koniecznością ćwiczenia z Bartkiem. Ojciec, posadzony obok proboszcza, nie mógł się nawet porządnie napić

i głównie milczał, patrząc z przerażeniem, jak pół wsi ma darmową wyżerkę na jego koszt.

Ewa, dopóki była z nią Sylwia, miała w nosie stypę i wszystkich tych ludzi. Dziewczyny siedziały razem i zastanawiały się, co dalej. W końcu Sylwia, ponaglana niecierpliwymi telefonami Grześka, musiała wrócić do domu. Jej mąż był kierowcą tira i właśnie miał ruszać w trasę, a dzieciaki były za małe, by je zostawić same w domu. Przyjaciółki uściskały się więc mocno przy bramie, a Sylwia obiecała wrócić jak najszybciej. Ewa wyszła na drogę, by jej pomachać, kiedy odjeżdżała białym golfem.

Pozbawiona towarzystwa przyjaciółki, usiadła przy stole i naląła sobie wódki. Wypiła jednym szybkim haustem, aż nią zatrzęsło. Naląła jeszcze jeden kieliszek, wypiła i poczuła, że zaczyna się w końcu odrobinę lepiej czuć. Towarzystwo też coraz bardziej poluzowywało krawaty i plątało języki. W pierwszym tego roku upale trzy piwa i trochę wódki szybko robiło z ludzi niezrozumiałe bełkoczące wory. Ewa piła równo z nimi, słuchając rozmów o krowach, ziarnie, skupie żywca, o wszystkim, absolutnie wszystkim, co stanowiło kiedyś jeden z głównych powodów, by stąd uciekać. A teraz to wróciło. Łup – postawiła na stole kolejny wychylony do dna kieliszek.

– Ewa, ty jesteś nasza dziewczucha! – Sołtys, pijany już w sztok, klepnął ją z całej siły w plecy, aż się zakrztusiła. – Wracasz na wieś i tak to ma właśnie być. Myśmy nie są miastowe, nas miasto nie przygarnie, choćby nie wiem, kurwa, co. Nie mam racji, Kazek? Nie mam?

Kazek nawet nie zareagował, przysypiał już w kącie, zmożony wódką i upałem.

Ewie nagle zrobiło się niedobrze. Może od wódki, a może z zupełnie innego powodu. Nie chciała ani chwili dłużej zostać przy tym stole pełnym ludzi, z którymi nic jej nie łączyło.

Wstała i nie zważając na okrzyki, żeby wracała, skierowała się ku bramie. Wyszła na drogę i chwiejąc się nieco na nogach, ruszyła przed siebie.

Droga spod ich domu prowadziła do rozstaju. W prawo skręcało się do wsi, w lewo – nad jezioro. Ruszyła w stronę wody, czując, jak kręci się jej w głowie. Szła w sandałkach na niskim obcasie, co rusz wykręcając nogi w kostkach na wybojach. Na tej drodze asfaltu nie było nigdy, a kocie łby rozsypały się chyba jeszcze przed wojną. Nagle zza zakrętu wypadł wielki terenowy samochód. Jechał z dużą jak na tę drogę prędkością i zanim dziewczyna się zorientowała, był już kilka metrów od niej. Uskoczyła w ostatniej chwili, a wielkie auto, wyjąc silnikiem na wysokich obrotach, niemal otarło się o nią. Ewa upadła na pobocze, prosto w krzaki.

– Jak jeździsz, kretynie! – zawołała, gramoląc się z rowu i masując obolałe udo. – Co za debil!

Wszelka ochota na przechadzkę minęła jej jak ręką odjął. Od razu też wytrzeźwiała. Ruszyła z powrotem do domu, utykając na stłuczoną nogę, a z podrapanej przez jeżyny łydki ciekła krew.

Na szczęście wkrótce na drodze pojawił się maluch Witkowiaków – nastoletni syn gospodarzy jak zwykle prowadził bez prawa jazdy.

– Ewka, cześć! Alem cię dawno nie widział! – zawołał przez półotwarte okno. – Co ci się stało? – zapytał, pokazując głową na jej zakrwawioną nogę.

– No, cześć, Edek. Szkoda gadać. Podrzucisz mnie do domu? Boli mnie noga jak diabli.

Chłopak skinął głową i Ewa zaczęła się gramolić do środka. „Jak to możliwe, że kiedyś całe rodziny jeździły maluchami na wakacje do Bułgarii?” – pomyślała.

– Słuchaj, kto tu jeździ takim wielkim dżipem? – zapytała, usiłując poślinioną chusteczką oczyścić ranę z piasku.

– Ta terenówka czarna? – Edkowi się zaświeciły oczy. – To nie dżip, Ewka, tylko range rover.

– Jezu, no to kto jeździ roverem? – Ewa przewróciła oczami.

– Nie wiesz? Oj, widać, że cię tu długo nie było. – Uśmiezek przemknął po przyszczatej twarzy Edka. – To pan prezes Kropiwnicki się rozbija.

– Kto?

– Stara, gdzie ty żyjesz!?! To jeden z najbardziej dzianych koleś w Polsce, ma chatę kilometr od ciebie, a ty nic nie wiesz? No weź! Za dużo w tych labolatoriach siedzisz. – Zaśmiał się znów. – Gostek ma w chuj hajsu i dwa lata temu kupił tu chyba ze czterdzieści hektarów od Kazków, Majchrowskich i kogoś tam jeszcze. Ogrodził i się pobudował. Pani Ala tam była raz zastępować jego gospodynię, to mówi, że pałac jak u Kulczyka. Ponoć ma nawet wieżę, czujesz? Wieżę! Cha, cha, cha. Z drogi to nic nie zobaczysz, a teren kamerowany, to się ludzie nie pchają.

– Ciekawe... – Ewa nadal masowała bolącą nogę. – Dzięki, Edek, za podwózkę. Zrób ty wreszcie prawko, chłopaku.

– A po co? Żeby mi zabrali? – Zaśmiał się szeroko, ukazując brak górnej czwórki, i ruszył dalej, paląc gumę na zakręcie.

### *Najmilsza Anielko!*

*Ja żyję! Modłę się każdego dnia, aby i Was Bóg miał w opiece. Nie wiem, czy list mój, który do Ciebie piszę, trafi do Twych rąk, czy nasz dom wciąż stoi, jak stał, i czy wy wszyscy w nim razem. Piszę z nadzieją w sercu, że przeczytasz te słowa, a z jeszcze większą, że dane mi będzie do Was wrócić. Oczywiście za Wami wyplakuję i boję się, co ze mną dalej będzie. Za co nas takie nieszczęście spotyka, doprawdy nie wiem już, kogo pytać. Pan Bóg musi mieć pełne ręce roboty gdzie indziej, że o tej naszej nieszczęsnej ziemi całkiem chyba już zapomniał.*

W pociągu byli ze mną Ukraińcy, Polacy, Włosi, Rosjanie, a nawet Francuzi. Jednych wieźli do obozów, a innych, jak mnie, do gospodarzy. Wysadzili nas gdzieś w ciemną noc. Trzęsłam się z zimna jak osika. Na stacji rozdzielili nas na mniejsze grupy. Krzyczeli. Po mnie i po jednego Chorwata przyszedł jakiś gruby mężczyzna i nakazał nam po niemiecku iść za sobą. Bałam się, ale co miałam robić. Szłam i szłam, nie wiedząc, gdzie idę, głodna i nieludzko zmęczona. Jak doszliśmy w końcu do bramy, nastawał już poranek, słońce szło coraz wyżej, a ja nadal bez choćby kropli wody w ustach i bez kromki chleba. Oczom moim ukazał się okazały dworek, a naokoło jeszcze gospodarstwo z kilkoma murowanymi budynkami – jedne dla zwierząt, a jeszcze inne dla służby. Państwo mają i sady, i pola – sama nie zliczę, ile hektarów tego wszystkiego. Tutaj miałam pracować. Niedaleko jest jeszcze jezioro – żebyś je tylko zobaczyła, Anielko, tak samo jak ja w zachwyty byś wpadła.

Powiedzieć Ci muszę, Anielko, że źle mi tutaj nie jest. To, co doskwiera najbardziej i łyż z oczu wyciska, to ta rozłąka niemożliwa. Sama tu jedna, daleko od wszystkich. Ale po prawdzie idzie żyć w tym miejscu, do którego zły los mnie rzucił. Pracuję, owszem, ciężko, wstaję z pierwszą zorzą. Razem z innymi każdego ranka trzy obory krów jest do wydojenia. Potem świnki oporzędzić, jajka zebrać, kozy i krówki wypuścić na pole, i tak na okrągło. Najważniejsze, że na państwa dobrych trafiłam, dziękować Bogu. Takich robotnic i robotników jak ja mają wielu, ale coś mi się widzi, że jestem trochę miła ich sercom. Pani czasem podejdzie, po głowie pogłaszcze, nawet i coś smacznego z pańskiej kuchni nieraz przyniesie. Powtarza za każdym razem, że jeszcze nie słyszała, żeby ktoś, co Niemcem nie jest, tak ładnie po niemiecku szprechał jak ja. Widzisz, przydały się lekcje u frau Kirschner, co tatko nas do nich gonił. Wiesz, że to ona, moja pani Cecylia,

*dała mi te kartki papieru na list do Ciebie? Państwo mają jeszcze małego synka Helmuta, psotnika, jakich mało. Ale wielką słodycz mam w sercu, kiedy bywa, że razem w ogrodzie figlujemy. Zapominam wtedy całkiem o zgryzotach i dopiero przypomnieć sobie muszę, skąd się tu wzięłam i że do domu wrócić nie mogę.*

*Ściskam Cię i całuję, moja Najdroższa. Napisz, jeśli możesz, choćby i dwa słowa. Drzę o Wasze losy i o Henryka na froncie – tu różne głosy dochodzą.*

*Twoja Józefa*

# ŻYCIE MA Z REGUŁY INNE PLANY NIŻ MY

Ewa spełniła swoje marzenie – wyrwała się z małej mazurskiej wsi, skończyła mikrobiologię. Właśnie wybiera się na staż naukowy do Paryża. Ma też całkiem sensownego faceta.

I nagle wszystko się kończy. Jeden telefon uruchamia bieg zdarzeń, jakich Ewa nigdy by się nie spodziewała. Dziewczyna wraca do zaściankowej rzeczywistości, do pijącego ojca i chorego brata. Przed nią wiele problemów, ale też miłość do utraty tchu. Co zrobi Ewa? Jedno jest pewne: za żadne skarby się nie podda!

Sięgnij po książkę, w której znajdziesz kobiecą siłę i odważną namiętność, dramatyczne decyzje i nieczyste interesy, zabawną, ale i nielukrowaną stronę życia. *Za żadne skarby* to powieść, jakiej jeszcze nie było.

E-book dostępny na

**woblink.com**

ISBN 978-83-7515-273-9



9 788375 152739

Cena detal. 34,90 zł